

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

6

ciąg dalszy.

— Jesteś pani zupełnie zziębnięta, osłabiona, wycieńczona, to przecież widać, a możesz pani i głodna... No, chodźże pani ze mną... Tylko płakać nie trzeba, proszę się raz już uspokoić...

Marylka zdała się zupełnie na łaskę i niełaskę mężczyzny, który ująwszy ją pod ramię, wywiódł z pokoju co prędzej, byle wzrok nieszczęsnej matki nie padł przypadkiem na kanapę za stołem.

Ale ona nie widziała nic w koło siebie ani się nie rozglądała nawet, lecz zupełnie apatyczna, dała się księciu prowadzić, jak dziecko, przez korytarz, na drugi koniec piętra, gdzie Czernski otworzył drzwi do jakiegoś niedużego pokoju. Tu zostawił ją w progu, a sam wszedł pierwszy do środka, poczem zapalwszy lampę, wprowadził ją bliżej do oświetlonego stołu i jak dziecko posadził w głębokim fotelu.

Jeszcze kilku słowy pocieszył zrozpaczoną kobietę, zalecił jej spokój i zapewniwszy, że zaraz przyniosą jej posiłek i nocleg przygotują — sam się wreszcie oddalił, pozostawiając ją samotną.

Suche, a przyjemne ciepło owionęło przeziębłą do kości Marylkę, która teraz siedząc bezwładnie w fotelu, czuła przedziwną ociężałość we wszystkich członkach i nie byłaby zdolną ruszyć się z miejsca.

Zresztą doznawała wrażenia, że jest jej tam tak dobrze, iż pragnęłaby móżdż pozostać na miejscu wiecznie i nie myśleć. Tylko nie myśleć.

Za chwilę drzwi się otwarły i weszła młoda, śliczna panna służąca księżniczki.

W jej prawie dziecięcej twarzy dostrzegła Marylka tyle pocziwości, że mimowoli nabrała zupełnego zaufania do niej. Więc kiedy ta zasypywała ją pytaniami, jakim sposobem zginęło jej dziecko, Marylka chętnie opowiadała jej wszystko.

— Niechże panią nie płacz... nie trzeba rozpacz... Mój pan już mi powiedział, że się zajmie paninym losem... Odnajdzie pani zgubę.

— Moje dziecko nie żyje, serce mi to mówi, przecucie matki nie zawodzi.

— Proszę się panią uspokoić, a jestem pewną, że się wszystko wyjaśni i odnajdzie pani synka przy życiu... To jakiś nędznik wpadł na tak łotrowską myśl, żeby pani list podobny posyłać... Ale ja wiem, nasz pan ma nieprzyjaciół, wiem to od księżniczki... on tyle robi ludziom dobrego... a wszyscy nazywają księcia dziwakiem... taka to niewdzięczność na świecie.

I dalej uspakajała płaczącą coraz ciszej Marylkę, wreszcie poradziła jej, żeby się położyła, wypoczęła i przespala, a za dnia będzie można obmyśleć, co i jak należy działać.

— No, dobrej nocy — szepnęła, ściskając ją za obie ręce i wybiegła.

Za małą chwilę zapukano do drzwi.

— Proszę — odezwała się nieśmiało Marylka przerażona, nie mogąc się jeszcze ruszyć z fotelu.

Wsunął się milczkiem lokaj i postawił na stoliku tacę z całą kolacją.

Zrazu obojętnie przyjęła to panna Reman, ale kiedy znów sama pozostała, uczuła tak silną potrzebę pokrzepienia się, że zabrała się chciwie do jedzenia. Z największym zadowoleniem piła przytem wino, które przedziwnie na nią oddziaływało. Krew zaczęła w niej krążyć coraz żywiej, rozgrzewając członki znużonego ciała.

Ale rychło potem uczuła się naprzemian tak obezwładniona i powieki tak się jej kleiły, że prawie bezwiednie znalazła się na wygodnej otomance i ledwie zdążyła z poręczy sąsiedniego krzesła ściągnąć szal turecki i okryć się nim — już zasnęła.

Światło lampy nie przeszkadzało jej, jakkolwiek znajdowało się tuż na wprost jej oczu, a wielka cisza usposabiała jeszcze bardziej do snu tak niezwykle tym razem dla Marylki pożądanego.

Musiała spać twardo. Nie przebudziło jej bowiem otwarcie drzwi, przez które weszły cicho dwie kobiety.

To księżniczka Laura zdołała bez wiedzy ojca uprosić swoją zaufaną pokojówkę, którąśmy przed chwilą poznali, żeby ją na jedną minutkę zaprowadziła do dziwnego gościa.

Pocziwa Bronia nie mogła tego odmówić swojej chorej panience, tembardziej, gdy widziała, że ta nagle zmieniła się zupełnie i czuła się stokroć

zdrowszą. Ubrała ją tedy i pocichutku pod rękę zaprowadziła na drugi koniec korytarza do pokoiku, w którym spała Marylka.

Księżniczka długo przypatrywała się w świetle lampy milcząco twarzy nieznajomej, która przez sen ani nie drgnęła na chwilę, na koniec, zanim Bronka zdążyła ją powstrzymać, nachyliła się nad otomanę i pocałowała śpiącą w czoło.

Bronka szybko zdmuchnęła światło w lampie, jak gdyby obawiała się, że pocałunek zbudzi nieznajomą, która otwarłszy oczy, musiałaby zobaczyć nad sobą księżniczkę.

Niespodziewana ciemność, która je naraz ogarnęła, wywołała okrzyk przestachu z piersi Laury. I to jednak nie rozbudziło śpiącej.

Wtedy Bronka znowu pocichutku wyprowadziła jak dziecko księżniczkę z pokoju.

Jak długo spała Marylka, nie mogła się sama zorientować, gdy otwierała oczy i nie wiedziała nawet, co ją mogło rozbudzić. Nic ciszy nie przerywało. W pokoju było ciemno, lecz nie do tego stopnia, by się nie dało rozróżnić przedmiotów.

Marylka zaczęła sobie przypominać, gdzie się znajduje i co ją tu sprowadziło.

Zerwała się na równe nogi z otomany, strącając szal z siebie.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem pod wrażeniem myśli, jakie ją nagle opadły.

— Precz, precz z tego domu... Ani chwili dłużej nie pozostanę w tym domu!

Rzuciła się ku drzwiom... Zastała je zamknięte na klucz. Więc nie namyślając się wcale, poskoczyła ku oknu... Otworzyła je. Chłód przejmujący owionął snem rozgrzaną.

Wyglądając oknem, rozeznawała już wszystko wyraźniej, świeża już bowiem i rozjaśniało już po nocy mimo pochmurnego nieba.

— Uciec copędzej z tego domu.

Usiadłszy na oknie, wychyliła się, gdy wtem z poza drzwi doleciał do jej uszu odgłos kroków w korytarzu. Pod wpływem tego pośpiesznie wykreśliła się w oknie tak, że siedziała już, mając nogi poza okno zwieszone.

— Precz stąd, precz — świdrowało jej w mózgu.

Więc już bez namysłu zeskoczyła z okna.

Na szczęście był to skok niezbyt z wysoka, jakkolwiek okno było na pierwszym piętrze. Znalazła się bowiem na szerokiej balustradzie kamiennej tarasu pałacowego w ogrodzie i stąd bez trudu spuściła się na najbliższą ławkę.

Na jej poręczy usiadła znużona nieco, ale nie wypoczywała długo, jak gdyby pod wrażeniem, iż ktoś ją goni. Nadśłuchiwała chwilę, stojąc już pośrodku tarasu, a uspokoiwszy się, gdy nie usłyszała w okolicy kroków ni głosów, zeszła prędko po schodach do ogrodu, pędzona ciągle przed siebie jedną myślą uporczywą:

— Uciekać, uciekać copędzej z tego domu jak najdalej!

Bez planu krążyć zaczęła po alejach wśród półmroku a najchętniej schodziła w boczne ścieżki węższe między szpalery krzaków, jak gdyby tutaj dopiero czuła się bezpieczniejszą.

Wtem naraz przystanąła, dech w sobie zatrzymując.

Ogarnęła ją trwoga niezmierna.

Zaczęła się rozglądać na wszystkie strony i nadśłuchiwała uważnie, tak w sobie dech zapierając, że ją aż w piersiach kłuło.

— Co to jest?

Jak gdyby właśnie wprost na nią nacierając, zbliżał się jakiś cień w tę stronę...

To z pod pałacu ktoś szedł, nie, skradał się ktoś milczkiem i chyłkiem... Parł w boczne gąszcz ogrodu...

Ciemna ta postać kierując tu swe kroki, musiałaby bezwarunkowo minąć się z Marylą na tej samej wąskiej ścieżce... Ktoś zatem odkryje teraz miejsce jej ukrycia się, może ktoś nawet, komu ją gonić kazano po ucieczce oknem.

Nie, ten człowiek, który tam wypełznął z pałacu ukradkiem w mrokach porannych... nie śledzi jej napewno. Przeciwnie, raczej sprawia wrażenie, jak gdyby sam starał się uniknąć pogoni lub zwrócić na siebie podejrzenie nagłem a niepożądanem spotkaniem się z kimkolwiek w ogrodzie.

Zbliża się ciemna postać dziwnych kształtów... chwiejąca się sylweta nabiera wyrazistości.

Jakkolwiek krok przypomina pełzanie gada, a jakiś płaszcz ogromny zaciera charakterystykę figury... Maryla jednak poznaje człowieka, który w jakimś celu nieznanym jej zdążyła właśnie gwałtem w tę stronę, nie przeczuwając tam niczyjej obecności.

Kobieta otwiera oczy coraz szerzej, wzrok topi

już w wyraźniejszych teraz kształtach ciemnej figury... i świecą jej w głowie naraz dwie myśli.

— To on...

Przysięgłaby teraz, że się nie myli, mimo, że płaszcz ogromny nie pozwala nawet twarzy rozpoznać dokładnie, kryjąc ją kołnierzem niemal aż pod nos, podczas, gdy czapka zapada na oczy.

Teraz Maryla nie odrywa wzroku od linii fałdów i załamów jego płaszcza.

— Niesie...

Ta myśl ostatnia rozdarła jej duszę na pół. Omal, że się ku niemu naraz nie rzuciła z radości szalona, a cofnęła się krokiem wstecz pod krzaków ochronę, okropnym strachem schwycona za gardło.

On zbliżał się już tuż ku niej, nie widząc jej jeszcze, ani nie przeczuwając nikogo o tej porze w zaniedbanym zakątku ogrodu. Ona zaś przez krótką chwilę stała jakby w ziemię wrosła, teraz nagle wypadła na niego skokiem gwałtownym z krzykiem stłumionym, jakby wydartym ze ścianego gardła:

— Panie Kosiara!... Moje dziecko!... gdzie moje dziecko...

Jak gdyby piorunem rażony, mężczyzna niespodziewanie napadnięty cofnął się, łypnął oczyma, spotkawszy się z jej wzrokiem... i starał się błyskawicznie oswojzić, gdy ona za płaszcz go schwyciwszy, już ręką natrafiła na przedmiot niesiony pod jego osłoną.

Wtedy człowiek ten, którego panna Reman nazywała Kosiara, (a w którym Czytelnik łatwo się już domysli tajemniczej figury gościa w książęcym pałacu na wstępie naszego opowiadania) — zerwał się do ucieczki... Przedmiot, którego doszukała się pod jego płaszczem Maryla, z rąk puścił zaraz, a ją samą pchnąwszy w piersi dzikim ruchem, powalił na ziemię — i zginął w krzakach...

Kiedy się biedna kobieta dźwignęła na nowo, ujrzała przed sobą nieduże zawiniątko, które Kosiara, żeby się uwolnić, porzucił.

Szarpnęła błyskawicznie węzeł chustki... a wtedy wzrok jej padł na trupio bladą twarzyczkę złotowłosej główki własnego jej dziecka, rodzonego synka. Z piersi jej nie wyrwał się najłżejszy jęk.

Do ust tylko matczynych przycisnęła z wszystkich sił zastygłe ciało i przez długą chwilę całowała je w niemym bólu...

Poczem zupełnie spokojna owinęła chustką wilgotną z powrotem dokoła trupka i odeszła, unosząc je krokiem chwiejnym.

— Toś ty widocznie tak chciał, Panie Boże, Tobie się podobało zabrać do Siebie biedne, opuszczone stworzenie... Boże Święty, weź Ty i matkę...

I szła tak dalek, ślaniając, się prosto przed siebie, i już nie wahając się wcale z postanowieniem, jakie powzięła. Wszakże najdroższe co miała na świecie — straciła, umarło jedyne dziecko, które kochała nad życie i dla którego żyć pragnęła.

Dziś tedy jest wolna, niema żadnych obowiązków, więc pragnie tylko uwolnić się jeszcze od cierpień, których niema siły znosić nadal.

Jeszcze ma jedno pragnienie na tem świecie: spocząć wraz z dzieckiem swoim w jednym wspólnym grobie.

Z takimi myślami szła przed siebie o chmurnym poranku Marylka Reman ze swym smutnym ciężarem na rękę. Nawet sobie nie zdawała sprawy, jakim sposobem znalazła się wreszcie poza obrębem ogrodu książęcego pałacu, nie zwracała wcale uwagi na to, jak i którądy szła dalej i czy tragiczna jej podróż trwała długo czy krótko...

Ocknęła się dopiero na widok szarej Wisły, gdy na jej brzegu stanęła.

— Ojciec Niebieski, jeżeli teraz grzech jaki popełniam, to Ty mi przebac, Panie i weź nas oboje do swej wiekuistej chwały — szepnęła Marylka półgłosem z chwilą, gdy o parę kroków przed nią szumiała rzeka, długotrwałym deszczem wzburzona, w której toni mętnej pragnęła nieszczęśliwa kobieta zaznać spokoju.

Od fal Wisłki powiało ku niej coś tajemniczego... a nieokreślonego, co ją teraz głosem syrenim wołało do siebie i pociągało tak dziwnie.

Obejrzała się wkoło. Otaczała ją wszędzie pustka. Jeszcze się Powiśle nie zbudziło, a tam nad niem w górze musiała spać jeszcze Warszawa.

Dokąd okiem sięgnęła, nie dojrzała nigdzie nikogo i zadowolona, że jej nikt nie przeszkodzi, zbliżyła się tuż na sam brzeg rzeki.

Jeszcze raz ucałowała zastygłe ciało ukochanego jedynaka, potem przycisnąwszy je sobie do łona, wydała lekki okrzyk, z którym już miała się rzucić w nurty Wisły — gdy ją za ramię schwyciła silna ręka i pociągnęła wstecz gwałtownym szarpnięciem w górę.